

**ANDRZEJ  
KIJOWSKI**

DZIECKO  
PRZEZ PTAKA  
PRZYNIESIONE

# Andrzej Kijowski

## Dziecko przez ptaka przyniesione

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=55844086](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55844086)*

*Dziecko przez ptaka przyniesione:*

### Аннотация

Dziwne, tajemnicze Dziecko, będące bohaterem tej powiastki napisanej zrytmizowaną prozą, poszukuje swoich korzeni, zaginionego ojca. Czasem jest zwykłym, psotnym brzdącem, czasem dzieckiem-obiektem dociekań psychoanalityków, czasem wcieleniem Króla Ducha – i wówczas prowadzi nas przez fantazmatyczne życie narodu polskiego...A rzecz dzieje się w dawnej stolicy, potem „mieście pogrzebów”, które do tej roli ciągle powoływane bywa, choćby i dziś... no, wczoraj.

# Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

49

# Andrzej Kijowski

## Dziecko przez ptaka przyniesione

MIASTO NAD WISŁĄ, RZEKĄ W POLSCE GŁÓWNA,  
LEŻY.

Obrazem pierwotnym miasta i rzeki bieg powieści znaczę, i miejsce akcji, oraz ideę utworu wykładam. Powieść to będzie wskroś realistyczna, chociaż pokrętna: miasto, co stoi, i rzeka, co płynie – oto powieści skrót metaforyczny, który krytykom usługnie poddawam<sup>1</sup>.

Miasto promieniste; to nie znaczy jasne, lecz koncentryczne. Podobne słońcu, gdyby zgasło słońce, na ziemię spadło i stygło w oparze krwawym i popiele. Taka jest miasta barwa i struktura. Czerwona cegła z liszajem wilgoci, miedź zzieleniała, liść pożółkły, mokry bruk; dzień z mgły powstaje i we mgle zachodzi, w kotlinie bowiem ukryło się miasto, pośród rozlewisk. Rzeka tu skręca, cofa się i dzieli. Wapienna skała drogę jej tamuje, w dolinę wbita jak szczątek okrętu. Na skale zamek, bo miejsce obronne. Miasto u stóp skały; jak mchu, paproci i borówczanych krzaków gęstwa, co pień obrasta zwalonego dębu; jak tren fałdzisty u stóp wielkiej damy; jak orszak za panem, i jak bruzda ciemna, którą pozostawia w rozciętej ziemi pługu

---

<sup>1</sup> *poddawam* (daw.) – dziś popr. forma: *poddaję*. [przypis edytorski]

lemiesz biały; i jak ślad okrętu z wysoka widziany.

Serce miasta w rynku, tam, gdzie jest ratusz; wokół tłum kościołów, co jak zbrojna flota wieże niesie ostre i dachy spadziste, i banie z blachy nad mglistą równiną. Stąd promienie ulic na cztery strony, pod kątem prostym, w porządku odchodzą, określa je plantów koło. Poza tym okręgiem nowe miasto wstaje: w dymach białych strumienie szyn błyszczą i kadłuby szklanych hal z szyjami kominów – miasto nowe, jak dzwon w obwodzie szerokie, ruchome, z sercem, które czeka na obwodu przyjście, aby dźwięk wydać – u szczytu wisząc, jak nietoperz we śnie.

W tym mieście dom jest jeden, w którym mój punkt oparcia ustalam – miejsce nieruchome świata. Tu opis nastąpi, przez podobieństwa, jak to w zwyczaju dawniejszym bywało, gdy dom do statku pisarz porównywał lub do człowieka; czasem do innego domu. Ten by porównać można do fregaty ciężkiej z głową Panny na rufie (o Pannie osobno); do głowy starca z brwią nasepioną (o brwi także będzie); do zamku wreszcie, teatru, kościoła, dworca kolei żelaznej, giełdy, banku i targowej hali. Panna w welonie, z otwartymi dłońmi, stoi tam w niszy, pomiędzy piętrami, stopą ścierając głowę węża (Panno uśmiechnięta, co zdobisz fasadę i wzrok przyciągasz przechodniów nabożnych, sprzyjaj opowieści i przychyłność zjednaj tych, co ją poznają!). Nad piętrem trzecim okap, to jest dach tak wysunięty, jak gdyby właśnie zmarszczył brew starzec ponury. Urządzenie takie, cień rzucające na piętro najwyższe, spotka uważny turysta w Florencji, w pałacach Pitti, Strozzi i Medici; okap ten cięty w pola kwadratowe – w polu,

jak w pudle, złota róża siedzi, a wszystko w drzewie. Pudła te znawca kasetonem nazwie, kwiaty kwiatonem i uznanie znajdzie dla tego, co dom stawiał, smaku, i tego, co płacił, fantazji.

Projekt pochodził z pracowni mistrza, co w mieście się wslawił licznymi gmachami: dworcem kolei z Gorgony głową u wierzchołka, teatrem z gzymsami, na których rojno było od symboli, bankiem z witrażami i handlową izbą, na którą wieżę wznosił wysoką, ostrą, a nad jej szczyt cały globus wsadził. U tego mistrza z wiedeńskiej szkoły właściciel domu rysunki zamówił, ten zaś zajęty budowaniem giełdy, nad którą szklany dach na sztabach giętych jak namiot rozpinał, robotę nową zlecił asystentom; ci skorzystali z różnych detali, z dawna gotowych na różne potrzeby. Mistrz budowie tworzył w pseudostylach różnych: zamki bankierów, gorzelni warownie, łaźnie publiczne na kształt rzymskich termów i w modnych badach zdrowych wód pijalnie – podobne meczetom. Stąd domu tego różne podobieństwa i styl budowy synkretyczny: fasada w kolumny, brama w ostrołuku, portal w kafelki, nad nim herbowa tarcza – pusta, nadto amorki z gipsu, płwacze, maszkarony, orzeł z pogonią *al fresco* u szczytu, nieco mozaiki i pszenicznych kłosów z grubego drutu. Tylko Panna jedna miejsce swe dostała z woli fundatora, który cześć jej składał jawną i kosztowną.

Oto fundator: starzec z brwią nasepioną i wąsem jak wiecha, starzec w meloniku, w płaszczu czarnym, z laską, której koniec gumą ochroniony, by nie stukała. Jestem jego wnukiem. Pomóż wnukowi powiedzieć historię, która w domu twoim

początek bierze, jak rzeka w źródle, i jak mego kraju historia w mieście, co nad rzeką stoi. Dopomóż, starcze, oraz wy, nieznani...

---

Nad wejściem do domu tablica była z napisem złożonym: ZAKŁAD WYNAJMU KONI I POWOZÓW, ZAŁOŻONY W ROKU... – tu data zatarta. Obok domu, który na sam brzeg ulicy wstąpił, inne wyprzedzając, w głąb cofnięta nieco brama była – zwykła, jak na wsi, z desek skośnych, między słupami z cegły zawieszona. Na podwórzec wiodła, a ten, kostką wypukłą wyłożony, krył się za domem razem z budynkami, co go otaczały zwartym czworobokiem. Stajnie tu były, wozownie, warsztaty, składzik na siano i mieszkalny czworak. Duże gospodarstwo – tym osobliwe, że pośrodku miasta, jakby osaczone w gęstwinie ulic i wysokich domów, których ściany, kuchenne ganki, okna wychodków wąskie jak strzelnice, trzepaki, śmietniki do folwarku przytknęły, murem odgrrodzone; po jego grzbiecie drut kolczasty pełzał. Z jednej tylko strony przestrzeń poza murem otwarta była – chociaż niezupełnie: dziedziniec tam był koszar policyjnych, i także stajnie, remizy, garaże, a w głębi gmach czerwony; jedno jego skrzydło z murem się szczepiło, a okna w nim małe i w kraty odziane. To był areszt miejski.

Zakład był znany; sto lat już istniał, gdy na świat przyszedłem. Usługi różne mieszkańcom oddawał, a zawsze uroczyste: od

chrzcin do pogrzebu, poprzez bale, śluby, imieniny wystawne, srebrne albo złote gody małżeńskie, orderu wręczenie, wojskowy awans lub habilitację, poprzez zjazdy, kongresy, odpusty, rocznice, odsłonięcia pomników, akty erekcyjne, poprzez wszystkie święta, które człek odbyć musi oraz te, co wymyśli sam, gdy mu ich mało, zakład dziadka służył karawanem, landem, kareta lub bryką, koniem białym lub czarnym, gniadym lub kasztanem, stangretem w liberii, w cylindrze, w kaszkiecie, w pirogu z piórami lub w ludowym stroju; na wszystko był gotów nasz zakład wynajmu.

Kiedyś był potężny. Sto koni podobno chodziło w zaprzęgach różnych, a obszar stajen, wozowni, wygonów ciągnął się daleko – bo łąki były wkoło, które dziadka mego ojciec w dobrych czasach kupił. Mój dziadek je sprzedawał, gdy czasy przyszły gorsze. Coraz mniej świętowano, upadła kultura, o paradę nie dbano; konie stały i żarły sieczkę oraz siano, rozpił się furmani, zetłali liberie. Miasto swe granice dalej przesunęło, magistrat zarządził rozbiory hipotek, ulicami cięto dziadka mego włości, zwały się wokół kamienic szeregi. Oblężony dziadek mury wciąż podnosił i drutem najeżał fortecy granicę. I konie sprzedawał, kiedy im zabrakło paszy i noclegu, a furmanów zwalniał. Chcąc podnieść powagę firmy i rodziny, kamienicę wzniósł nową, opisaną wyżej; w nią pieniędzy włożył więcej, niż posiadał – prestiż wprawdzie podźwignął, lecz kredyt obniżył. Zakład odtąd upadał. Upadał powoli jak dąb podcinany, który koronę ku ziemi przechyla nie prędzej od słońca, gdy we mgle się skrywa przedwieczornej; aż



punkt krytyczny równowagi minie – wtedy runie z trzaskiem jak zwierzę ubite (tak i słońce w oczach ginie, jakby ręka czyjaś, za horyzontem skryta, ściągnęła je raptem albo zadusiła). Zakład runął, gdy wojna wybuchła Austro-Węgier z Serbią i innymi krajami. (Młodym przypominam, że ono miasto, nad górnym biegiem Wisły położone, wchodziło w skład monarchii, której tron stał w Wiedniu.) Zakład runął wraz z Austrią, której armia potężna, zanim swą wojnę ostatnią zaczęła, konie wzięła dziadkowe wszystkie, co do jednego: pod wierzch poszły cuganty, do armat i trenów, a furmani w szeregi, a landa i bryki w kolumny transportu. Wojsko stanęło w budynkach, kuchnie na podwórku. Miasto bliskie granicy, która Austrię dawną z dawną Rosją dzieliła dawną Polskę krając, na mapach imperium czarną gwiazdąznaczono jako Festung – twierdzę. Armaty dwakroć grały w bliskiej okolicy i dwakroć wzywano mieszkańców do wyjazdu, gdy Serbii sojusznik kampanie wygrywał. Pustoszało miasto od cywilnych ludzi, a gęstniało od wojska. Stukali nocami do dziadkowych okien zapóźnieni żołnierze, kwatery żądając. On czarne zasłony w oknach porozwieszał, „wyjechałem” napisał na bramie zakładu, zamknął się z rodziną i obronę rozpoczął, wściekłą a milczącą w swym domu pięknym pod Panny figurą, do której modły zanosił żarliwe, aby starła głowy nieprzyjaciół, co na zgubę jego zewsząd armie pchają.

– Ona zwyciężyła – mawiał później, kiedy zawierucha minęła, upadły mocarstwa, rozpierzchnęły<sup>2</sup> się armie; na środek

---

<sup>2</sup> rozpierzchnęły (daw.) – dziś popr. forma: rozpierzchnęły. [przypis edytorski]

podworca dziadek zwłókł zatechłe sienniki i słomę – brudny osad wojny – stos wielki ułożył i własną ręką podpalił, *Zdrowaś Maryja* szepcząc. Od wojska upadłego kilka koni kupił, przyjął niedobitków paru, co z wojny wrócili, i zakład otworzył, ogłaszając w gazetach swe dawne usługi. – Wróć – mówił – czasy dawne, bo wszystko, co było odeszło<sup>3</sup>, powraca. W świecie nic nie ginie, a tylko się kryje na czas jakiś, jak słońce wieczorem. Świat jest kołem – mówił – wiecznym powtórzeniem, rytmem. W rytmie jego piękno oraz sprawiedliwość.

W to wierzył głęboko. – Panna czysta – mówił – jeszcze wciąż depcze głowę węża. Ten wąż to przemiana, to czas-złodziej i morderca. Panna go zabija i radość zwiastuje, radość narodzenia...

Tak mówił i na żonę spoglądał z nadzieją. Oboje już południe żywota minęli, siwy włos posrebrzył im głowy, lecz Pannę prosili o pociechę ostatnią – o syna-dziedzica, o brata dla córek czterech, które mieli. Jak o cud prosili, jakby o nagrodę za to, że tak mocno wierzyli w małej stopy nad wężem przewagę, w młodość wieczną, w przeszłości powroty. Ten cud się nie zdarzył. Doktorów dziadek pytał – głowami kręcili. Płakał dziadek przed Panny obrazem, mówiono, że na nią krzyczał i pięścią wygrażał. Tak pragnął ojcostwa, tak za synem tęsknił, tak córek nie cierpiał i żonę zadręczał, tak straszny się stawał w

---

<sup>3</sup> *co było odeszło* (daw.) – forma daw. czasu zaprzeszłego; znaczenie: co odeszło (dawniej, przedtem). [przypis edytorski]

pożądaniu dzikim, i tak niepojęty w swym żalu niesłusznym, i tak okrutny, że... Później powiem resztę.

---

Tę opowieść słyszałem od Dubiela, stangreta, który u dziadka także za stróża służywał. Człek to był rozmowny, aż nadto... Aż nadto: któż takie rzeczy dziecku opowiada? Tłumaczy go prostota i to, że mi ciekaw był nadmiernie. Gdy mi tylko z domu pozwolono wybiec, szukałem Dubiela, który uprząż czyścił lub słomę wygarniał. Stary był, w dziadka latach prawie; czuprynę miał siwą, bujną pod brudnym kaszkietem, który nosił na ucho, z fantazją, z żołnierską.

Bo żołnierzem był dawniej.

– Hej – mówił – paniczu... W arcyksiążęcych ja ułanach służył... – I śmiał się piskliwie, papierosa kręcąc w palcach czarnych i twardych jak kołki.

– He, he – ciągnął – czerwone portki my nosili, czaka z bączkiem i złote szamerunki. Ładne było wojsko dawniej, kiedy o tej Polsce, co teraz nastała, ani słyhu nie było – i dym nosem puszczał.

W czasie wielkiej parady, opowiadał stary, przed samym cesarzem, koń zrzucił Dubiela i cały pułk po człeku przeszedł, zanim sanitariusze go zabrali. Lekarze złożyli połamane kości i

wydali świadectwa, że do służby *untauglich*<sup>4</sup>; za pazuchę sięgał, papier wygrzebywał przetarty na brzegach i pieczęć pokazywał z czarnym orłem dwugłowym. Przyjął dziadek Dubiela i dał mu w opiekę czarne konie, które do pogrzebów trzymał. Mieszkał Dubiel samotny w czworaku przy stajni, w izdebce ze wszystkich najmniejszej. On bramy zamykał, gdy wieczór zapadał, i psy spuszczał przed nocą – dwa złe kundle, szare, wyleniałe, które przez dzień cały ukryte były gdzieś za stajnią, aby dzieci nie straszyć.

Miasto nasze lubiło pogrzeby. Kiedyś było stolicą, później być przestało, bo król stąd wyjechał i dwór z sobą zabrał. Zwyczaj tylko pozostał, że na zamku naszym królowie brali korony, a potem wracali już prochem, w krypcie spocząć, w podziemiach katedry.

Miasto żyło tylko wtedy, gdy umierał król – ceremonią żyło, świętem, pompą – zresztą spało, czekając, aż się nowy cykl wypełni. Każdy chciał w pogrzebie kroczyć, kiedy przyjdzie wielki dzień. Na to trzeba było jakiś kostium mieć, godność oraz należeć do kompanii, która tradycyjnie miejsce bierze w pstrym orszaku: stąd więc u nas zatrzesienie bractw i cechów, korporacyj<sup>5</sup> i towarzystw, chórów, orkiestr, honorowych straży, syndykatów, związków, klubów; stąd gust szczególny maskarady, sybilowanie ostentacji oraz gapiostwo. Miasto stare, było jak starzec, co żyje wspomnieniem świetniejszych czasów, i jak

---

<sup>4</sup> *untauglich* (niem.) – niezdolny, nienadający się. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> *korporacyj* (daw.) – dziś popr. forma D.lm: korporacji. [przypis edytorski]

dziecko zarazem, co czeka na święto.

Dubiel o pogrzebach swoich opowiadał jak żołnierz, co bitwy wspomina. Królów dawno nie chowano w naszym mieście, bo ich już nie stwarzał kraj rozcięty na trzy części, z których każda w innej stronie miała tron. Lecz pogrzeby nie ustały – cykl wciąż trwał i wciąż zwożono tutaj zwłoki jakieś, którym naprzeciw wychodził lud przebrany w swoje kostiumy stare, by znów przeżyć radość żałoby i parady. A to poeta był lub wódz, albo inny duch potężny, w którym osierociały kraj monarchę-ojca uczcić pragnął.

– W koni sześć my go wieźli, a na każdym kapa srebrna i w uszach rajery<sup>6</sup> – jak – he, he – u dam... Ja w kołpaku z kitą i w czamarze, w siodle siedzę i prowadzę wóz czy ten, jak mówili, rydwan – a to były jakby schody, jakby ołtarz albo tron. Trumna srebrna – co się następowały chłopcy, gdy ją podźwigały w górę – trumna, mówię, na tych schodach, czyli na rydwanie, który moje konie ciągnęły<sup>7</sup> – rzeźbiona w orły i korony, i na łapach lwich. A to już był proch, paniczku, garstka tego... Wiem, bo pisał o tym „Czas”<sup>8</sup>. Nic nie było w środku, kiedy otwarli grób: próchno pono i włosów pukiel – złoty albo siwy.

– A kto to był, Dubielu?

---

<sup>6</sup> *rajer* – czaple pióro, używane daw. do ozdoby damskich fryzur a. kapeluszy. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> *ciągnęły* (gw.) – dziś popr.: *ciągnęły*. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> „Czas” – wydawany w latach 1848–1934 w Krakowie dziennik zw. z frakcją konserwatystów krakowskich (tzw. „Stańczyków”), stanowiący również forum dla publikacji krakowskiej szkoły historycznej. [przypis edytorski]

– Ten proch? Już nie pamięć, bo do nazwisk nie mam głowy, a w pogrzebach wielum sławnych chodził<sup>9</sup>. Ten, com go wtedy wioził<sup>10</sup>, od stu lat już, pono<sup>11</sup>, nie żył – tak pisało – ale jeszcze raz go chować chcieli, bo gdy zmarł, nie wiedzieli ludzie oni<sup>12</sup>, co go znali, kto to był. Skrył się, uciekł, czy nakłamał tak o sobie – tego nie wiem – panicz lepiej wiedzieć będzie, w szkole o nim pewnie uczą. Wtedy wspomni panicz, że go wioził<sup>13</sup> – ten, znaczy, odgrzebany proch. Proch – powtarzał, głową kręcąc – i koni sześć, srebra, drzewa, sukna huk, i biskupy, i sokoły, bractwa, cechy, strzelcy. A co księży!... I ludu moc. A płakali! Dzwony były...

Bajał Dubiel, jak to zwykle baje gmin. Stangreta władze umysłowe stępione były alkoholem, który od lat wielu płynął w jego krwi. Policzki jego barwił czerwony kwiat upleciony z drobnych żyłek, który siniał, kiedy Dubiel wpadał w uniesienie albo w złość.

– Dzwony! – chrypił<sup>14</sup>. – A Zygmunt, dzwon królewski, ten największy pono w świecie, to ci mówię – jako organ grał. I

---

<sup>9</sup> *w pogrzebach wielum (...) chodził* – konstrukcja z przestawną końcówką czasownika; inaczej: w wielu pogrzebach chodziłem. [przypis edytorski]

<sup>10</sup> *com go (...) wioził* – konstrukcja z przestawną końcówką czasownika; inaczej: co go wiozłem (którego wiozłem). [przypis edytorski]

<sup>11</sup> *pono* (daw.) – podobno. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *ludzie oni* (daw.) – tamci ludzie. [przypis edytorski]

<sup>13</sup> *żem go wioził* (daw., gw.) – konstrukcja z przestawną końcówką czasownika; inaczej: że go wiozłem. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *chrypił* – dziś popr.: chrypiał (tj. mówił ochryplym głosem). [przypis edytorski]

śpiewał chór. W kwiatkach i chorągwiach miasto całe. I płakali, i płakali. Jadę, konia w pysku trzymam, kości moje połamane bołą, wszystko boli, bo to taki pogrzeb trwa a trwa. Myślę: zlecę i stratują znowu, w bok odwloką, już nie złożą drugi raz. Nikt nie spojrzy nawet w kupkę kości utarzaną w końskim łajnie, w kwiatkach, wstęgach, co nimi był bruk zasłany – ani nie usłyszą krzyku, bo w ten proch, który wieżę<sup>15</sup>, patrzą wszyscy. A w oczach ciemno, z nieba leci skwar na moje sukna czarne, na mój upiórzony łeb. Myślę: ty się, Dubiel, trzymaj mocno, ty się nie złam, to jest jakbyś teatr grał. Ludzie patrzą, żagwie płoną, świece w oknach i w latarniach gaz – choć to dzień był – cisza taka, tylko płacz i śpiew z daleka, i kopyta klapu-klap po bruku. Nie psuj, mówię, Dubiel, gry, nie upadaj, nie umieraj. Ludzie płaczą – nie przeszkadzaj, ludzie milczą – nie krzycz, zęby ściśnij, końską grzywę malowaną srebrem mocno w garście chwycić, i przetrzymaj. Tak pod zamek zajechalim<sup>16</sup>, pod tę górę, co ją panicz zna.

– Wawelską! – wykrzyknąłem w ogniach cały, chociaż mi to opowiadał chyba setny raz.

– Jakże! Jak tam stromo, to już panicz dobrze wie. Konie jak wryte w miejscu staną, ani rusz dalej. Poskoczyli ludzie pchać. Wczepili się w koła, ramionami rydwan wsparli, jękli „hej!” i „rup!” – rydwan drgnął! Konie moje w pianie całe, chrapią, w miejscu tupią... Ja mojemu brzuch do krwi ostrogą orzę, uzdą

---

<sup>15</sup> wieżę (gw.) – dziś popr.: wiozę. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> zajechalim (gw.) – dziś popr.: zajechaliśmy. [przypis edytorski]

szarpie, pięścią tłukę w kark, „wio, malutkie! – wołam – wio”. Poszły im spod kopyt skry jakby z kuźni. Na kolana pada lewy, za nim mój... Skoczą ludzie, szory<sup>17</sup> chwycą, ciągną, szarpia. Krzyczą: – „Puszczaj jeden z drugim, zleżę, będzie lżej”. – „Siedź – odkrzykną – my ciągniemy”. – Poszło jakoś... Droga pusta, bo już orszak poszedł w górę i tam czeka w bramie pod kratą podniesioną, pod orłami kamiennymi... Zamek w górze, a na wałach ludu mrowie – patrzą. I ten dzwon, jak burza, jak ulewa, jak Dunajec wiosną, gdy się wścieknie i zalewa kraj – panicz nie wie, ja to wiem, bom jest z podkarpackich stron – tak ten dzwon na łeb się walił... Tak te konie w iskrach, w pianie, w jęku szły... Tak mnie ciągli<sup>18</sup>, tak mnie wiedli w bramę, na wawelski dwór, gdzie czekali w czerni, w bieli i w purpurze... Berła, szpady i łańcuchy... Krzyże, gwiazdy, wstęgi, pióra. Orły – kończył w zamyśleniu – orłów kupa...

– I co było dalej? – pytałem niecierpliwie.

– Nic nie było. Pochwalił mnie pan, bo dla firmy to był honor. W gazetach stało, kto dał konie.

– Ale czyś wyjechał w górę?

– Nie – ze wstydem odparł furman. – Zaparły się te czorty wściekle. Żołnierze trumnę wytaskali<sup>19</sup>...

– A potem?

---

<sup>17</sup> *szory* – uprzęż złożona z szerokiego pasa zakładanego przez pierś konia oraz pasów bocznych i pomocniczych rzemieni. [przypis edytorski]

<sup>18</sup> *ciągli* (gw.) – dziś popr.: ciągnęli. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *wytaskać* (gw.) – wynieść (z trudem), wydźwignąć. [przypis edytorski]



– Nic, powiadam. Jeszczem nieraz chodził<sup>20</sup>, tak...! I pójde  
znów, jak będzie trzeba.

Głową kiwał i zwitkę bibułkową ślił.

– A dziadek?

– Co dziadek?

– Dostał syna?

– Jakiego syna?

– Przecież prosił?

– Kogo prosił?

– Mówił Dubiel!

– Co mówiłem?

– Że płakał i wygrażał, i babkę zadręczał, aż – i nie skończył  
Dubiel.

On chichotał i kółka z dymu puszczał.

– Więc, Dubielu? Mów, bo dziadkowi powiem, żeś nakłamał.



Ja rodziców nie miałem; ciotki mnie chowały, dwie  
bliźniaczki, i dziadek, od lat kilku wdowiec. Kto jest moją  
mamą, a kto tatą? Dlaczego braci nie mam ani siostr? Skąd się  
wziąłem i kiedy na ten świat przyszedłem? Wszystko, co dawne i  
początkowe, wzbudzało w sercu mym niepokój, szukałem śladów  
moich własnych, abym mógł wrócić, skąd przybyłem. Zdawało

---

<sup>20</sup> *jeszcze nieraz chodził* (daw.) – konstrukcja z przestawną końcówką czasownika;  
inaczej: *jeszcze nieraz chodziłem*. [przypis edytorski]

mi się, żem jest więźniem, zakładnikiem może, porwanym dzieckiem. Na górnych piętrach kamienicy pod Panną mieszkały pozostałe ciotki z mężami i gromadą dzieci. Nie wolno mi było z nimi mówić ani bawić się, nawet gdy zbiegały na dół. Wołano wtedy:

– Mały! Do domu! Wracaj zaraz!

Zawsze jedna z bliźniaczek miała mnie na oku. I dzieci tamte, kuzynki moje (chłopców nie było wśród nich wcale) – uciekały, kiedym się zjawiał. Kto jestem, że mnie tak pilnują i taki wzbudzam strach czy wstręt? Pytałem Dubiela, a on o pogrzebach bąbał albo o wojsku. Czasem tylko, gdy pijany był bardziej niż zwykle, palnął coś tajemniczego, jak o tym synu, którego dziadek pragnął, gdy już był stary. Palnął, żałował potem, a gdym go nudził, bąbał znowu, aby mi zamącić w głowie:

– Ano słuchaj: kiedy tak ją dręczył – babkę niby twoją – rzekła mu jednego dnia...

– Skąd to wiesz?

– Przede mną pan tajemnic nie ma!

– Więc wszystko mów!

– Przyszła rano we łzach cała i powiada: sen miałam, Teofilu, sen dziwny dziś miałam. Szłam przez ogród, płacząc, i o syna prosiłam Panienkę Najświętszą, opiekunkę naszą... Aż nagle nad sobą łopot usłyszałam, jakby skrzydeł ogromnych, i sęp albo orzeł – orzeł pewnie, bo biały (mówił Dubiel) ze szponów upuścił pisklę czarne, ślepe. I głos przemówił do mnie słodki jak muzyka: „Podnieś je i przyjmij”.

– I co? – wykrzyknąłem.

– I tyś się narodził.

– Komu? Babce?

– He, he! – jakże? Mamie twojej.

– A gdzie mama?

– Umarła.

– Tak zaraz?

– To się zdarza.

– A tata?

– Jest gdzieś w świecie.

– Gdzie? Mów mi zaraz!

– Będziesz mi tu głos podnosił? Będziesz krzyczał, rozkazywał? Marsz do domu, dziadka pytaj albo cioć. Ja tutaj mam robotę... – i ręce mu się trzęsły, kiedy swe postronki zbierał.



Sam nie wiem, kiedy po raz pierwszy pomyślałem o moim początku. Dzieckiem wszak szczęśliwym byłem: zabawek miałem wiele i wolności tyle, że jej zużyć nie umiał. Miałem czaka i hełmy z blachy i tektury, półpancerze błyszczące niklem i pozlótką, szablę z frędzlą i gardą, mieczyk oraz strzelbę, która łoskot sprawiała gromki, jak prawdziwa. Bęben miałem i trąbę oraz konia z ceraty na czerwonych biegunach; żołnierzy ołowianych pudła pełne, nakręcane koleje, klocki kamienne

firmy Anker, z których wieże wznosiłem jak ja sam wysokie, i kredek stosy z fabryki Iskra i Karmański – wszystko miałem, com zechciał, i swobodę, powietrze, i przestrzeń, i czas. Od porannego do wieczornego mycia zębów słyszałem zachęty: – Baw się, boś dziecko, pij mleko, bo zdrowe, krzycz i hałasuj, kiedy masz ochotę, biegaj sobie nago (lecz ręką części wstydliwych nie tykaj), czytaj troszeczkę, rysuj ile wlezie (smaruj jak umiesz, na formę nie zważaj), wyzwalaj z siebie tajemne pragnienia, śpiewaj fałszywie, pleć, co ślina niesie, dzieckiem bądź co sił, kwitnij na potęgę.

Tak mi mówiono. Natura moja, przez dziadka i ciecie nadzorowana czule, przeżyła dzielnie, by tak rzec, ramiona, dom nasz zaciszny napełniając wrzawą i siejąc wokół chwackie spustoszenie. Zasmarowałem już całe wagony papieru, nie darowałem białym drzwiom i szafom, ścianom, futrynom ani szybom, by nie tamować niszczących skłonności, co zgodne z naturą.

Nad wychowaniem moim czuwał lekarz-specjalista, pan doktor Kraft. Łagodny, smutny, siwy pan przyjmował mnie raz w miesiącu w jasnym gabinecie, gdzie pełno było szkła i rur. Ściany zdobiły rysunki dzieci w jasnych ramkach: *Mama i tata, Moje Miasto, Czym chcę być, Moja książeczka*. Tata zęby szczyrzył jak wilk i łapy długie miał, do nóg – a te znów wielkie jak łopaty. Mama cała w różowej farbie upaprana, a na bulwiastej głowie żółty pióropusz – czyli włosy. Zielony potwór to wojskowy, czarny – policjant czy kolejarz, kwadraty całe dziurkowane – to

domy, miasta i koleje, zielone kupy to przyroda, i inne jeszcze bohomy w kolorach barszczu i budyniu, sadzy, krochmalu oraz guana zbierał łagodny doktor Kraft, który naukowo badał twórczość dzieci. I ja także znosiłem moje malowidła, które oglądał, marszcząc brwi.

– Co to? – pytał, wskazując kałuże rozmazanych farb.

– To dzień – mówiłem – to noc, lato – mówiłem – dom, podwórko.

– Hm – głową kręcił – a dlaczego pustka taka we dnie i w nocy, w domu, w polu? Dlaczego dzieci nie malujesz, dziadunia, siebie i zwierzątek?

– Bo ja – odpowiadałem bystro – sam się zwykle bawię.

– Ach, sam... A jak się bawisz?

– Dobrze. Polecenie pana doktora, abym od narzędzi ostrych nie stronił i lęku w sobie nie wytworzył przed długim i spiczastym kształtem, wykonałem: obrusy wszystkie pokrajałem, firanki ściałem i skłułem mebli tapicerskie części; sztychem niejednym zagroziłem ciociom – lubię, kiedy krzyczą, lubię ich łezki i palców kiwanie. Dręczenia zwierząt też nie zaniedbałem. Z fuzyjką moją, wiatrem ładowaną do stajen się skradam i salwę oddaję, która przy żłobach zamieszanie sprawia. Łajają mnie furmani i Dubiel wygraża, ale dziadka woła drogę mi toruje. Przez podwórze pędzę pierzaste watahy, szablą i lancą kłując, gdzie popadnie. Dzień mam pracowity. Jedzeniem pluję i służbę obrażam, w łazience brudzę, higienie urągam, a kiedy kto w poprzek mym pragnieniom stanie, „pozwólcie dziecku”,

płacząc rzewnie, proszę.

– Hm – pytał doktor – lęki jakieś odczuwasz?

– Żadnych.

– Moczysz się?

– Czasem.

– Rysujesz klucze?

– Chciałbym, lecz nie umiem.

On pytał dalej:

– Boisz się schodów? Zjeżdżasz po poręczy? Jaki kolor lubisz, a który ciało twoje gęsią skórą marszczy? Wymień zapach, w którym marzyć zwykłeś o rzeczach zdrożnych – nie wstydz się, mów śmiało. Jeśli odpowiesz inaczej, niż chcemy, potwierdzisz tylko to, co dawno wiemy.

– To po co pytać?

– Abyś odpowiadał. Tajemnic w tobie nie ma żadnych, tylko nieposłuszeństwo możesz przeciwstawić światu, który zewnątrz ciebie i wewnątrz jednej jest natury. Ty jesteś tylko punkt krytyczny, w którym materia psychiczna ze stanu symboli w akt przechodzi. Stanie się to mimo ciebie lub z twoją pomocą. Twoje przyzwolenie nic nie zmienia, tobie tylko daje złudzenie wolności, a w nim całe twoje szczęście osobiste.

– Niezupełnie rozumiem.

– Nic dziwnego, jesteś jeszcze malutki. Tym śmielej wyznaj wszystko, gdyż winy w tobie nie ma żadnej. Śpisz w nocy?

Nie spałem. Bliźniaczki do snu mnie kładły, okrywały łóżko ciemną chustą z frędzlami, aby noc była dla mnie głębsza jeszcze i abym w nią calutki wpadł: odmawiały nade mną i ze mną pacierze, opiece Panny powierzały, Anioła Stróża upraszając, aby mi był ku pomocy; całowały mnie czule, nocnik ustawiały na wysokim krzeselku, abym sięgnąć mógł łatwo, kiedy tylko zechcę. Odchodziły człapiąc pantoflami i szepcząc do siebie:

– No, spokój nareszcie.

– Może zaśnie.

– Nie zaśnie. Uciekajmy, żeby nas nie wołał.

I zamykały cicho drzwi.

Odgarniałem fałdy czarnej chusty i na pokój patrzałem. Przez zaciągnięte story z gęstej materii koloru zbutwiałego drzewa prószło światło blade ulicznych latarni; mieszkanie było na parterze, wysokim dosyć, tak że gazowa lampa na żelaznym słupie, akurat była tuż przy szybie; jej błękitny płomyk drgał czasem i przygasał, by znów za chwilę się rozżarzyć, a ja myślałem, że już świta. Pragnąłem zawsze noc przeczekać, zobaczyć dzień, jak wstaje, i móc powiedzieć ciotkom, kiedy przyjdą: nie spałem wcale całą noc. Naprzeciw łóżka, na białej ścianie, wisiał zegar szafkowy. Tykał kiedyś głośno, wahadłem poruszał i godziny wybijał; zatrzymały go ciotki, by mnie nie rozbudzał. Lśniły tarcze wahadeł i wagi spuszczone na dno

oszlonej szafki. Pod zegarem komoda czarna, serwetą nakryta. W niej moje zabawki: wojsko i armaty, czaka, klocki i farby. Na komodzie figurka Panny w białym gipsie bardzo starannie wyrzeźbiona – kopia dokładna tej, co domu strzeże z wysokiej niszy. Panna biała i zabawki, nieruchomy zegar, nikły blask z ulicy – taki obraz w oczach miałem, gdy ze snem walczyłem, jak z aniołem: spać nie chciałem.

Nie był to kaprys ani zła wola ze strony upartego dziecka, ale nadzieja, że noc przyniesie rozwiązanie zagadki, która mnie dręczyła. Wiedziałem, że nie może człowiek żyć, jeśli rodziców nie miał nigdy. Miałem ich zatem, skoro żyję, i oni żyją gdzieś we świecie. Dlaczego kryją ich przede mną lub mnie przed nimi dziadek, ciotki, pan doktor Kraft i nocny stróż? Czy mnie nie szuka ojciec, któremu zabrano mnie przez zemstę albo za karę, czy nie krąży nocą w pobliżu domu, czekając, aż się pośpią wszyscy, a wtedy w okno moje zastuka cicho i „otwórz” krzyknie głośnym szeptem... Kiedy dziesiąta biła w odległych pokojach, a w koszarach policji trąbka grała na ciszę nocną, Dubiel psy swoje spuszczał z łańcucha. Głośno gwizdał przy tym – gwizd długi, po nim krótkie cztery, aby ostrzec każdego, kto by na podworec wchodził, że psy biegają na wolności. Ten gwizd odbierał mi nadzieję: na poduszki opadałem z żalem, lecz i z ulgą: nic się dzisiaj nie stanie – myślałem – wszystko będzie, jak było, do jutra, do rana. I zabawę zaczynałem we wszystko, czegom pragnął: w ucieczkę bawiłem się, porwanie przez ojca, w ojca, który porywa, w matkę, która czeka, byłem dziadkiem, co



broni, Dubielem, co strzeże, i kimś czwartym, potężnym, który wszystkich godzi, karze i nagradza.

Aż zabawa mnie zmęczyła. Pościel miałem zmiętą i rozgrzaną, chustka na podłogę spadła, zdyszany byłem i spocony od gonitw, bójek i przemówień, którym odgrywałem; kiedy pomysłów mi zabrakło oraz sił do dalszych przygód, snu pragnąłem, sen wzywałem, zaklinałem, aby przyszedł, aby przy mnie stał. Ale nie wracał: odpędzony, z dala ode mnie błądził nocą – mój czarny anioł obrażony. Słyszałem zewsząd jakieś głosy, stąpania, skrzypienie otwieranych drzwi, a z cieniów, co się po pokoju kładły, leżały się cienie nowe, obce. Wszystko, czego pragnąłem i co stwarzałem, gdym się bawił, żyło teraz nieposłuszne mej władzy twórczej. Stukał do okna ojciec, wołał uśpiwszy czujność psów i stróża, a jego ludzie zbrojni dom otaczali, aby mnie porwać i wywieźć do innego miasta, gdzie matka czeka. Ja spać chciałem, tu, na miejscu, w pobliżu Panny i zabawek, i żyć jak żyłem – w niepewności, czekaniu, żalu i zabawie. – Ratuj – wołałem do figurki białej – tyś mą matką, innej nie chcę, i ojca innego mieć nie pragnę – poza dziaduniem.

Pogodzony, zapłakany, w sen zapadałem jak w pułapkę przez ciotki dawno zastawioną.



Dziadek i ja, wnuczek, jednaką mieliśmy złość do ciotek, czyli do bab, jak powiadał.

– Mały – krzyczał ze swej kancelarii, gdy mu co dopiekło – zbieraj się, jedziemy precz od bab.

Dusił dzwonki, których klawiaturę całą miał nad biurkiem. Zbiegali się stangreci, ilu ich tam wszystkich było: Staszek, Ignac, Wojtek, Dubiel.

– Który wolny?

Wszyscy wolni, śmiech powiedzieć, bo tak ten interes szedł, że stangreci w karty grali cały boży dzień.

– Dubiel – wołał dziadek na starego, co czarne konie miał w opiece. – Zaprzęgaj, pojedziemy se gdzie w świat. Weź karetkę. Czy wymyta?

– Jakże, panie...

– A kopyta pastą, durniu, wymaż. Niech się świecą...

– Jak psu jajka – kończył Dubiel, co rozkazy dziadka znał jak pacierz.

– No.

I ruszali – starzec, dziecko, stangret, konik – zagniewani na ten babski, panie, świat.

– W górę! – wołał dziadek, wychyliwszy głowę przez okno karetki; podobna była do trumny, gdyby trumnę w sztorc postawić na dwóch osiach. Czarna była, lśniąca, okna z boku miała dwa i podłużne trzecie, z tyłu, na plecach lekko przygarbionych. Stangret siedział wysoko, tak że głowa w kaszkiecie płaskim sterczała nad dachem jak kurek, co wskazuje stronę, z której wieje wiatr. Czarny koń, w dyszle dwa ujęty jakby w szczypce, klapki czarne miał na oczach, by nie gapił się byle

gdzie, nie strachał, tylko prosto biegł. Błady promień wplatał się w szprychy kół i drżał w nich jakby srebrne źdźbło. Kopytami świecącymi koń przebierał i nad jego grzbietem smętnie zwiślał bat z pstrą kitajką. W środku ciemno trochę, ciasno, i ciepło od dziadka sapiącego. Mruczało coś w podwoziu, trzeszczały ścianki, szybki cicho dzwoniły, zachodząc przeźroczystą mgłą.

– W górę! – wołał dziadek, chociaż ulica nie wznosiła się ani trochę, opadała nawet nieco, bo miasto leżało w kotlinie, a dom nasz stał na Piaskach, na wydmie dawnej, opodal dawnych murów miejskich.

– Jak to w górę, dziadziu? – pytałem uparcie za każdym razem, gdy rozkaz taki usłyszałem.

– No, w miasto, w rynek – odpowiadał jeszcze gniewny – a głupich pytań nie zadawaj, bo dobrze wiesz.

– A dlaczego tak? Wcale nie jedziemy w górę.

– Miasto jest górą.

– A nieprawda!

– Prawda, bo tak ludzie mówią, odkąd żyję.

– A dlaczego?

– Co dlaczego?

– No, tak mówią...

– Góra – mówił – czy ja wiem. To może władza, tron...

– Królewski?

– No.

– Przecież dawno nie ma króla.

– To będzie.

– Tu? W naszym mieście?

– A czemu nie?

– Inne czasy, dziadziu.

– Inne czasy, inne czasy – ja ci dam. Głupcy mówią tak jak ty. – Baby... Ja ci powiem, słuchaj, dziecko: co kiedyś było, musi powrócić, wszystko się wraca, wszystko powtarza, nic nie umiera, życie jest kołem, jak to miasto nasze i jak ta ziemia cała, jest kuliste. Głupcy mówią inaczej, baby głupie mówią, żebym konie sprzedał i karetki, i powozy, karawany. Powiadają, że już tego nie chce nikt, bo czasy przyszły inne. Automobil – mówią – jest dla nowych czasów koń. Śmierdziel taki... Więc mi mówią: taksówki, ojciec, kup i do stajni wstaw, a jak nie, to nas twoje konie zjedzą. A niech zjedzą – czerwieniał z gniewu – głupie baby. Jeszcze kupię...

– Co kupisz, dziadziu? Powozy? Konie?

– A coś myślał? Przecież nie dla kur te stajnie stawiał lat dwadzieścia temu ledwie, przed samą wojną... Jak stawiałem! Szczepnę ja i ty rozsypiesz się na proszek, a te moje stajnie przetrzymają wiek, co mówię, wieki dwa, może trzy, i więcej, jak zamek... przetrzymają, mówię, bo w niczym nie są gorsze od tego, co budował król. I mury te, com postawił, będą wieki stać, i dom, w którym tyś się rodził...

Zabiło serce moje.

– Ja się rodziłem?

Zmieszał się dziadek, w wąsy dmuchnął.

– Jakże inaczej? Przecież kura cię nie zniosła ani inny ptak.

– Właśnie, dziadziu, spytać chciałem...

– Nic nie pytać! Przez okienko sobie patrz – krzyczał gniewnie – ja się zdrzemnę.

– Jaki, dziadziu, ptak?

– Żaden ptak, żaden ptak, będziesz duży, to się dowiesz, w szkołach cię nauczą o tym, teraz dość, ja śpię – drżały mu ręce, gdy melonik na nos wciskał i podnosił kołnierz palta.

Kłapał konik po nierównym bruku, kołysała się karetka, czasem szarpnął kary i uskoczył w bok. Dziadek spuszczał wtedy szybę, na tył głowy melon zsuwał, lżąc stangreta:

– Trzymaj w pysku, durniu głupi, i uważaj na te diabły!

Diabły – czyli samochody, których bał się koń.

A dziadek zasypiając znowu mruczał:

– Wszystko przejdzie. Moda taka dziś, jutro inna, a com zbudował, to zostanie. Jeszcze wrócą do mnie, prosić będą, żebym woził końmi. Bo co koń, to koń.

W rynku Dubiel stawał przed Hawełką. Sklep to był znany w mieście, stary; kawą pachniał i świeżą skórą z pomarańczy. Nad półkami w poprzek ściany wielbłądy karawaną szły ku oazie z palm zielonych. W sklepie mrok był, tłok i krzyk:

„Prosz... uprzejmie... Służ... uprzejmie... Cał... rączki uprzejmie...” – a nad wejściem złoty napis HAWEŁKA na czarnym, szklanym tle. Sklep ten znałem, bom bliźniaczkom nieraz towarzyszył przy sprawunkach. Z dziadkiem do sklepu nigdy nie wchodziłem, bo on z karetki nie wysiadał. Dubiel tylko z kozła złaził, a dziadek niecierpliwie patrzył za nim, mrucząc:

– Guzdrze się<sup>21</sup>.

Za powrotem Dubiel krył pod płaszczem coś i przez okno panu wręczał:

– Zamknij oczy – mówił do mnie stary pan.

Mrużyłem powieki i słuchałem, jak strzela korek i płyn bulgocze w gardle dziadka. Pachniało potem tak w karetce, jakby w kuchni, w dzień, kiedy się ciasto piecze. To był rum.

– Wio, jedziemy! – wołał dziadek głosem jasnym, odmłodzonym, laską stukał w podłogę karetki dywanikiem wyścielaną i śpiewał:

Miała baba koguta, koguta, koguta,  
Wsadziła go do buta, do buta – bęc!

---

Jak stary film przesuwają się miasto w wąskim oknie karetki, gdy je dziś wspominam: jakby snuł się dym ulicą albo jakby właśnie zmierzch zapadał. Czy to mgła, co ściele się w kotlinie, tak je mroczy, albo może szyba stara, zmatowiała, taki obraz mi oddała, czy to w końcu czas światło gasi, kolor zmywa? Widzę litery złote, na szkle malowane, gięte z drutu, z rurek szklanych, próbuję czytać, uciekają, zanim wyraz cały złożę: GŁOGO – MAURI – WEDEL – BANK HAN – BRACIA – SZARSKI –

---

<sup>21</sup> *guzdrać się* – robić coś powoli, niezgrabnie. [przypis edytorski]

i nową piosnkę dziadek nuci:

Przy samowarze siedzi moja Ata  
A w samowarze Szarskiego herbata...

Godła aptek widzę: orzeł biały, w trójkącie oko promieniste, złoty lew i złoty słoń, i inne godła nad bramami: rak, trzy korony, dwaj Murzyni. Bramy dziwne: jedna w głowy ludzkie cała, druga w ćwieki, tutaj czarny nagi tors balkon trzyma, ówdzie rząd baranich głów. Szary mur, tynk odpada, spodem cegła jakby blizna stara, na tym plakat CYRK PRZY – reszta zdarta i kredą hasła gryzmołone PRECZ Z ONR ŻYDA BIJ.

Ludzi widzę – cały tłum – ale tylko głowy, czapki, kapelusze – tyle pomieściła kłisza stara. Głowy widzę czarne, dęte, jakby jakieś bulwy krągłe, jakby dynie lub melony. Widzę głowy kwadratowe w krzyż przecięte srebrną nicią, głowy daszkiem lśniącym osłonięte, z promienną gwiazdką nad oczami i pisklęciem uskrzydłym u szczytu rogatych czół. Głowy w skrzydła białe strojne i welony, głowy jak kokardy zwiewne, głowy w kwiatach, dzetach, piórkach albo skryte w płaskim cieniu głowy-grzyby; głowy-brody: w kłębie włosów smutne oczy, smutny nos, a nad brodą toczek czarny z daszkiem krótkim, jakby ptasi czub.

Nagle kolor, światło, dźwięk – jakby biało-czarny film zamienił się w *technicolor of 20-th Century Fox*: chorągwie biało-czerwone z okien zwisają deszczem splukane, girlandy

z lampek i choiny drżą na wietrze, orkiestry brzęczą wśród pochodni smolnych i po mokrym bruku chrzęści miarowy krok. Spośród dymów, złotych trąb, proporców, orłów, z okien wystawowych i balkonów, patrzy na mnie wzrok posepny starca, który zmarszczył brew i wydał wąs. Dłonie obie wsparł na szabli, jak na lasce dziadek mój, kiedy gniewa się lub duma. Twarz ta sama i gest ten sam, ten sam mars na czole i cień w zszarzałych oczach. Dziadek ze mną, tu, w karetce, czkając rumem o wskrzeszeniu firmy śni, na baby mruczy, klnie stangreta – dziadek w światłach, w słońcu trąb, wśród grzmotu bębnow, z szablą w dłoni lub buławą, w czapce z orłem, wstęgą błękitną przepasany stoi, w fotelu siedzi, albo konno stąpa na tle chmur skłębionych, w złotych ramach i girlandach, jesiennym wiatrem kołysany. Dziadek tu i dziadek tam. Za rękaw ciągnę czarne palto.

– Hę?

– Święto jakieś, dziadku.

– U nas ciągle, panie, święto.

– Popatrz, wojsko idzie.

– Na paradę – niech se idzie.

– Popatrz, portret!

– Widzę. Stary już jest, tak jak ja.

– Czy on naprawdę wszystkim rządzi? Wojskiem, szkołą i koleją, pocztą, bankiem i policją, każdą rzeczą i każdym z nas?

– A bo co takiego? Cóż ci oczy tak latają, rączki drżą i głosik tak się łamie, jakbyś płakać chciał czy co?



– Nie wiem, dziadku. Jakiś urok na mnie rzuca jego wzrok ponury i jego wąs, i jego brew, i jego szabla, i buława, i jego koń, i mundur siwy... Może dlatego, że jestem sierotą, ojca nie znam, więc szukam jego wyobrażeń i miłość moją ofiaruję symbolom władzy i ojcostwa.

– Jakim symbolom, co ty pleciesz?

– Tak mi powiedział doktor Kraft.

– To babskie wychowanie, panie, ja z tym skończę.

– Ach, nie mów o nim źle, dziaduniu, on mnie rozumie.

Powiedz jeszcze: to jemu wszystko zawdzięczamy?

– Komu znaczy?

– Dziadkowi, to jest marszałkowi, szefowi państwa, który królem byłby pewnie, gdyby się czasy nie zmieniły?

– Co mu zawdzięczamy, mówisz?

– Życie i wolność.

– Co za bzdury! Ach, to wychowanie bab i doktorów! Ja wiem dobrze, skąd to wszystko! To ten zeszyt czarny...

– Nie mam zeszytu, ach, dziaduniu!

– Wiem, że go pod poduszką chowasz. Ja go zabrać będę, spalę, bo wiem dobrze, czym to pachnie – tu głos załamał się starcowi. Czerwony z gniewu spuścił szybę i w głos wykrzyknął:

– Do domu wracaj! Mam dość tych, panie, tręb.

– Och – płakałem – wybacz, dziadku. – A skrycie pomyślałem: „Figę znajdziesz. Dobrze skryłem”.

Aż do samego domu dziadek na brzeżku ławki siedział z ręką na kłamce, na wpół ode mnie odwrócony, zły jak chrzan. Po

rękawie go gładziłem i rączkami dwiema chciałem objąć:

– Dziaduniu, nie gniewaj się, zeszytu już nie ma, zginał gdzieś... podarłem... strzałki porobiłem z jego kart, obrazki zasmarowałem, zniszczyłem...

Nie odpowiadał ani twarzy nie odwrócił w moją stronę, główką laski w ścianę stukał, a na to „wio” i „hep” krzyczał Dubiel, i świstał jego bat nad koniem, i głośniejsza nasza trumna grała. Nie zdążył stangret dobrze zahamować przed domem, a dziadka furia zniosła precz – przez kafelkową sień prawie biegł z lagą do szturmu pochyłoną. W palcie, w melonie do pokoju mego wpadł, za nim ja, bliźniaczki za mną, jak zwykle jednakowe w czarnych spódnicach, w bluzkach w pasy. Dziadek lagą z łóżka zdjął kapkę muslinową jak kozuch z mleka i na podłogę rzucił, sapiąc.

– Co ojciec! – wrzasnęły ciotki. – Prane świeżo!

Za kapką w ślad poduszki poszły, kołdra, kocyk – do materaca musiał schylić się i oburącz dźwignąć pasiaty<sup>22</sup> płat. Przy tej robocie spurpurowiał i zaklął głośno, gdy drucianą siatkę zobaczył, na niej paprochów trochę i więcej nic.

– Gdzie to jest? – groźnie ryknął.

– Zasmarowany, stargany – bąkałem – do śmieci poszedł.

– Łzesz<sup>23</sup>!

– Ale co? Na Boga! – wołały ciotki, ręce łamiąc, a dziadek za piecem lagą gmerał, szafę grabił, zabawki moje rozrzucał

---

<sup>22</sup> *pasiaty* – dziś popr.: pasiasty. [przypis edytorski]

<sup>23</sup> *łzać* – kłamać; mówić nieprawdę. [przypis edytorski]

i gniótl, żołnierzy moich lżył bezwstydnie i uniformom cześć odbierał.

Aż znalazł! Nie to, co chciał, lecz małą częśćkę, ślad, namiastkę: pocztówkę małą, w bladych kolorach, za szybkę serwantki wsuniętą ukradkiem, pocztówkę groszową, z której ku niemu spojrzał ponuro spod brwi ściągniętych jego sobowtór w siwym mundurze, na szabli wsparty. Portrecik zaraz w strzępy poszedł w dziadkowych palcach i gruby kalosz zdeptał szczątki.

– Co ojciec – krzyknęły ciotki, ręce łamiąc – wodza bezcześcisz i sam się narażasz! Niechby kto zobaczył... – story zaraz spuściły, ja udałem gorzki płacz, a dziadek jak przez lzy przemówił:

– Wodza gdzieś mam... Niech mi dziecko zwróci...

I z pokoju wyszedł, kaloszami człapiąc, pochylony. Bliźniaczki krótko zaszlochały, w dłoniach twarze ukrywwszy.



Dubiela zastałem w stajni, kantar<sup>24</sup> czyścił, na kolanach go trzymając, jakby lirę.

– Dubielu – zawołałem – co to znaczą słowa dziadka: niech mi dziecko zwróci – on, wiesz kto...

Dubiel ramionami ruszył.

– Ja tam nie wiem – rzekł niechętnie.

---

<sup>24</sup> *kantar* – uzda (pozbawiona wędzidla, skórzana uprząż nakładana na pysk konia).  
[przypis edytorski]

– Musisz wiedzieć – zakrzyknąłem.

– Umrzeć muszę – odparł stróż – i o stajnię mieć staranie.

Słuchać, co pan mówi, muszę, czasem wypić kieliszeczek, przespać się i na noc spuścić psy. Ot, co muszę.

– A ja muszę wiedzieć, skąd się na tym świecie wzięłem.

– Ty? Zwyczajnie – jako każdy z nas. Ktoś cię znalazł i odchuchał, nadał imię, ubrał, no i chodzisz.

– Ale kto? Kto mnie znalazł, a kto rzucił?

– Nie zawracaj, panicz, głowy.

– Powiedz: dziadek jakieś dziecko miał przede mną?

– Może miał, ja tam nie wiem.

– Syna? Córkę?

– Córek to on dosyć ma.

– Więc syna?

– Ja nic nie wiem.

– Ach, więc tak!

– Co?

– Syna miał.

– Może.

– I stracił?

– Skoro miał, a nie ma teraz...

– Uciekł? Zginął? Czy porwany?

– Kto by tam porywał dzieci!

– Więc uciekł?

– Wracaj do zabawek, młody panie. To nieładnie męczyć tak starego.

– Ile lat miał?

– Bo ja wiem... Siedemnasty rok mu szedł, gdy... Odejdź, dziecko.

– Gdy napisał: żegnajcie, starzy, idę za nim...

– Co? Jak napisał? Gdzie napisał? Skąd to wiesz?

– Wiem – wykrzyknąłem.

– To po co pytasz?

– Żebyś odpowiedział.

Dubiel zwiesił głowę.

– Kasztana najlepszego wziął ze stajni i poszedł za wąsatym wodzem – w bój, jak śpiewano wtedy... W boju padł – i skończona piosnka. Ej, ty Boże mocny – blaszkami końskiej liry brzęknął. – Pan do komendanta tego, co to rządzi nami dzisiaj, szedł o chłopca prosić. Samem wioził go do pałacu, gdzie kwaterą stał ten wódz, co wtedy bogiem był młodzieży. Panny, to ci mówię... ale co ty tam zrozumiesz! Widziałem go tak jak ciebie, bo go pan przed bramą dopadł, gdy wychodził. Taki sobie – człek nieduży, przygarbiony trochę, mundur na nim szary, zmięty, i bez gwiazdek, bez orderów. W naszym wojsku kapral lepszy wygląd miał. Myślę sobie: co w nim widzą? A tu koło niego tłok i krzyki: „niech nam żyje”, „komendancie, prowadź”... Głupi naród – myślę sobie – ale, czuję, coś się dzieje ze mną, gardło ściska, serce bije, jak wtedy, kiedym przed cesarzem spadł, albo pod tą górą, pod zamkową, kiedy koń mój – wiesz... A pan – twój dziadek znaczy – do człowieka tego przystępuje, nic nie zważa na te baby zwariowane i na adiutantów w sznurach...

Dziecko – mówi – poszło, konia skradło, każ mu pan do domu wrócić, nie gub dzieci, na co to się zda – ta krew niewinna i rodziców łyzy... Płakał pan przed komendantem. Wojna – mówi – mocarstw, wojna świata, nie nasza, po co wleciesz pan tę garstkę na stracenie, sławę sobie pan budujesz z naszych strat... – Rzekł komendant: – Idź pan płakać gdzieś w ukryciu, jak dziadowie twoi, którzy nie skąpili synów krwi i własnych łez nie żalowali. Od lat, mówi, stu dwudziestu tak giną nasze dzieci, a dlatego pan i ja po polsku dzisiaj rozmawiamy, i dlatego na tę wojnę, którą toczy świat, syn pański za własną sprawę idzie, bliższą mu niż dom rodzinny. Szczęśliwy chłopiec – mówił jeszcze – lepszą częśćkę wybrał niż ci, co czekać będą, aż ich rozkaz obcy w okopy pogna w mundurze obcym, z obcą bronią. Ja wam daję (tu podniósł głos, bo już go cały słuchał tłum) sposobność własnej wojny, zwycięstwa lub przegranej własnej. Ludzki los wam zgotowałem, gdy ludy w bydło zamienione ślepo pod wojny nóż się kładą... – Tak do twojego dziadka mówił wódz, co go też dzisiaj dziadkiem zowią, bo jest już stary.

A pan bez pożegnania odszedł i w pościg ruszył za chłopakiem – ja z nim. Pojechali my na Jędrzejów, Kielce, Końskie, Łódź – szlakiem ułanów, między pruskie armie, bo ich tam zagnano. I nie znaleźli... Guldenami sypał pan na prawo, lewo, na pocztach pytał i w komendach. Spod Łodzi my wracali z wojskiem, bo się akurat odwrót zaczął. Jesień była. Błota takie, że po osie zapadały koła. Aż nam zabrali konie do taborów, a my furgonem, za trenami pociągnęli w nasze strony. Blisko domu, w jakimś

mieście małym, w Wolbromiu chyba czy w Olkuszu, patrzymy: siwe czaka, burki z baraniami kołnierzami, orły z blachy. Ot, i nasi. Pytamy: nigdy taki nie był w szwadronie, nie znają, chyba imię zmienił, jak to w zwyczaju wtedy było w tym wojsku, do którego każdy skądciś zbiegł. Imię – mówią – zmienił. Więc gdzie jest? Mógł, powiadają, zginąć. Nad Nidą, mówią, były jatki, nawet taki jeden młody, jakże mu było? Kmicic? Grom? Sokół czy Sęp, czy inny ptak? Szrapnelowy zegar głowę mu zdjął, gdy w bagnie chłopcu koń ugrzęzł...

Zagrała trąbka do wsiadania, zadzwonił bruk pod kopytami, a my zostali... Płakał pan, jak dziecko dał się poprowadzić, do domu wrócił jakby chory. W gniew nagły wpadł: palić kazał pamiątki wszystkie po paniczu Bolku. – Nie miałem – mówi – syna, nigdy nie żył, nie dała Panna czysta syna... Płakał i palił książki, papiery i ubrania... Piękny był chłopak, głowę miał złotą... Ech...

Wierzchem dłoni przetarł oczy i dokończył:

– Idź, paniczu, do swoich zabawek. Nie powiadaj nikomu, żem ci mówił. To niedawno było – lat temu tyle prawie, ile ty ich teraz masz.

Umilkł. Tupały konie, obrok chrupiąc, pachniała stajnia amoniakiem, sianem i skórą. Na dworze zapadł listopadowy, wczesny zmierzch, za murem policyjnych koszar zagrała trąbka. Do domu szedłem, postać nową witając w państwie mojej wyobraźni: wuja młodego z głową ściętą, którego miejsce w świecie żywych ja zająłem – czyj naprawdę syn? Czyjej miłości

dziedzic prawy?

W domu spokój. Łóżeczko moje ciotki zaślały, rozprostowały kapkę zmiętą, żołnierze na swych półkach stali zastygli w marszu, w biegu, w cwale; pancerze, czaka i rynsztunki na swoich miejscach. Cisza, ciemno, w swej kancelarii dziadek śpi i o klientach śni.

---

W ściennym zegarze nieruchomym mój schowek miałem. Między wagami opadłymi tkwił zeszyt w czarną tekturę oprawiony, z czerwonym kartek brzegiem. Poznaje teraz pismo drobne – poznaje dłoń, która wklejała pocztówki kolorowe, ramki wokół kreśląc czerwone albo czarne – na radość lub żalobę. Poznaje starą ortografię sprzed ćwierci wieku, dzieje serca odczytuję z tych kart, które zapisywał trochę ode mnie starszy chłopiec. Ileż razy ten zeszyt oglądałem nocą w latarki elektrycznej świetle, gdy nie mogłem albo nie chciałem spać!...

Jest jakiś czar szczególny w historii, gdy się ją ujmie w zwieżły schemat, jak to uczynił ten chłopak, zanim nad Nidą w błotach padł. Jest to może czar uproszczenia, może dziecinny tryumf nad zawilnością rozwikłaną; radość taka, jaką sprawia małemu majsterkowi klucz przypadkowo przymierzony do drzwi zamkniętych – choćby donikąd prowadziły, aż dech zapiera, kiedy zamek zgrzytnie i skrzydło nieruchome drgnie, dostęp do strychu otwierając, składu rupieci, albo przejście tajemne w



wysokim murze czy parkanie.

Ślusarka taka równie wdzięczna jest w sprawach ducha. Są wśród chłopców wielcy lingwiści, reformujący gramatykę, są prawnicy, którzy składają konstytucje państw tylko w tym celu utworzonych, teolodzy, którzy w zdaniach paru demaskują sekrety nieba, wynalazcy, z których każdy rozpoczyna od wzoru na nieskończony ruch, oraz bezwzględni urbaniści, którzy ogromne miasta w trzy dni burzą i we trzy stawiają potem w kształtach gwiazd, kół lub kwadratów; są dyktatorzy, którzy ludy całe przenoszą z jednego krańca świata w drugi, topią lodowce, zmieniają biegi rzek i morskich prądów, bogaczom biorą, biednym dają, opornych wyganiają precz – a srogi jest ich gniew, bo „wyciąć w pień” zbuntowane miasto, albo lud oporny w jasyr pognać to dla nich tyle, co muchę zgnieść palcami lub dropsa miętowego zgryźć. Ani czas, ani materia oporu im nie stawia wcale, bo chłopcy w rachuby ich nie biorą, gdy układają swoje plany. Świat w planach chłopców jak drut cynowy gnie się, łamie – i ku zniszczeniu biegnie pierwsza człowiecza myśl, zanim pozna miłość, a z nią sekret klęsk.

Chłopak w zeszycie opowiadał historię kraju. O tym, jak wzrastał, jak sąsiednie ziemie zgarniał i scalał, wygrywał wojny, królów i królowe dawał krajom innym. Aż osłabł, upadł, zniknął wreszcie – przykład jedyny w nowych czasach politycznego kidnaperstwa. Mówią jedni, że nadmiar go wolności zgubił, którą rozszerzał wraz z granicą, zamiast – wzorem innych państw – ciśnieniu zewnętrznemu wewnętrzny odpowiednik stworzyć

(rzecz to znana, że państwo duże sroższym dla swoich jest więzieniem niżeli małe, a najsroższym takie, co słabym będąc sił nabiera). Inni mówią, że na odwrót, wolności mało było tutaj, bo jej dla wszystkich nie starczyło: od jej nadmiaru mniejszość spuchła, reszta zmarniała od jej braku, skamieniała i na dno całość pociągnęła. Anarchia – mówią – kraj zgubiła, bo król był tutaj najmniej wolny. Kłamstwo – odpowiadają drudzy – i potwarz nawet, bo naród pragnął władzy, prawa i ładu, lecz mądrych królów mu zabrakło i mężów stanu; dowód w tym, że gdy się taki zjawił przecie – posłuch znajdował i tłuszcze wnet przemieniał w rozumny i posłuszny lud. Spisek mocarstw młodych klęskę sprowadził na mocarstwo stare – nowe metody walki i rządzenia wzięły górę nad przestarzałą republiką, czy też – na odwrót – odmłodzoną w ostatnich latach swego życia, zjednoczoną na hasło z jakobińskich klubów, z ulic Paryża, z pól pod Valmy, z bezwładu przebudzoną nadejściem myśli nowiej, groźnej dla despotycznych tronów, myśli, która z nierządnego ludu czyniła naród nowoczesny – młodą zatem, rewolucyjną republikę kładły do grobu siły stare, by na wiek cały odwlec klęskę własną – tak niektórzy sądzą. Lecz nic pewnego: może to prawo dziejów i wszelkiej działalności prawo, które żyć długo nie pozwala ustrojom i cywilizacjom, linię wzrastania załamało i sprowadziło do upadku – prawo przyrodzone wszelkiej energii, która w skupieniu jednym czas określony pozostaje, by ulec wkrótce rozproszeniu i skupić się na nowo w układzie innym... A może los, który tylko raz się

spełnia w jednym istnieniu poszczególnym – a może Bóg, który do ludu swego mówi językiem przypowieści, swoich wyroków sekret zwierzył w historii kraju wybranego – czy wreszcie cykl kosmiczny odejścia i powrotu wypełnił się w naocznych dziejach, wcielając w polityczną formę mit uwiedzionej Prozerpiny? Pytań tyle i odpowiedzi w polskiej sprawie, ile polityk, filozofii religii, mistyk, literatur, ile myśli, uniesień oraz aberracji urodził dziewiętnasty wiek, a następnemu w spadku zlecił sprawę rozstrzygnąć. Pisali o tym Russo<sup>25</sup>, Mably<sup>26</sup>, Fichte<sup>27</sup> i Engels<sup>28</sup>,

---

<sup>25</sup> Russo, właśc. *Rousseau, Jean Jacques* (1712–1778) – pisarz francuskojęzyczny z Genewy, filozof, wybitny przedstawiciel oświecenia, encyklopedysta; postulował powrót do natury, odrzucał zdobycze cywilizacji, w tym pojęcie własności prywatnej; swój model człowieka idealnego, dobrego, wychowywanego w naturze przedstawił w dziele z 1762: *Emil, czyli o wychowaniu*; w innym dziele, pt. *Umowa społeczna* zawarł poglądy na demokratyczną wizję państwa, będącą fundamentem współczesnej myśli politycznej. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> Mably, *Gabriel Bonnot de* (1709–1785) – fr. filozof i polityk; brat filozofa Étienne de Condillaca, autor m.in. dzieła o rządach i prawie w Polsce (*Du gouvernement et des lois en Pologne*, 1781); pisał prace historyczno-polityczne o staroż. Grecji, Rzymie i współczesnej Francji oraz Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> Fichte, *Johann Gottlieb* (1762–1814) – niem. filozof idealistyczny, krytyczny następca myśli Kanta, twórca teorii wiedzy oraz nowego typu idealizmu subiektywnego, tzw. filozofii czynu. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> Engels, *Friedrich* (1820–1895) – filozof i socjolog niem., ideolog socjalizmu, współpracownik Carla Marksa, jeden z twórców i przywódców zarówno I, jak i II Międzynarodówki, autor pojęcia **materializmu dialektycznego**; napisał m.in. traktat *Święta rodzina, czyli krytyka krytycznej krytyki* (1844; z Marksem), *Położenie klasy robotniczej w Anglii* (*Die Lage der arbeitenden Klasse in England*, 1845), *Manifest komunistyczny* (*Manifest der kommunistischen Partei*, 1848; z Marksem). [przypis edytorski]

poeta Hugo<sup>29</sup>, heretyk Lamennais<sup>30</sup>, Rosjanin Hercen<sup>31</sup>, Włoch Mazzini<sup>32</sup>, pisali Spengler<sup>33</sup> oraz Toynbee<sup>34</sup> (między wierszami),

---

<sup>29</sup> *Hugo, Victor Marie* (1802–1885) – pisarz i polityk, czołowy przedstawiciel romantyzmu fr., członek Akademii Francuskiej; tworzył powieści (m.in. *Katedra Marii Panny, Nędznicy*), poezję, dramaty (*Cromwell, Hernani*) oraz pisma polityczne. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> *Lamennais, Félicité Robert de* (1782–1854) – pisarz i ideolog fr., początkowo zwolennik ultramontanizmu, później propagator odnowy kościoła; w 1841 r zerwał z kościołem katolickim; autor książki *Słowa wieszczce*. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> *Hercen, Aleksandr Iwanowicz* (1812–1870) – pisarz ros., myśliciel i działacz społeczno-polityczny, którego poglądy miały wpływ na ideologię ros. organizacji „Ziemia i Wola”, stworzył doktrynę **socjalizmu rosyjskiego**, który miał powstać z pominięciem fazy kapitalizmu; współpracował z Towarzystwem Demokratycznym Polskim na emigracji, gorąco popierał ruch rewolucyjny okresu Wiosny Ludów 1848–1849, a także powstanie styczniowe w Polsce (co spowodowało upadek wydawanego przez niego czasopisma „Koło koła”, ponieważ członkowie emigracji ros. masowo wycofali się z abonamentu), autor książki autobiograficzno-wspomnieniowej *Rzeczy minione i rozmyślenia* (1852–1868), stanowiącej zarazem zarys życia ideowego Rosji i Europy za jego życia. [przypis edytorski]

<sup>32</sup> *Mazzini, Giuseppe* (1805–1872) – włoski rewolucjonista, przywódca demokratyczno-republikańskiego nurtu *risorgimento*, walczył o wolność w antyaustriackiej partyzantce razem z Garibaldim, założył organizację Młode Włochy (1831) i Młoda Europa (1834), należał do masonerii. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> *Spengler, Oswald Arnold Gottfried* (1880–1936) – niem. filozof kultury i historii; autor publikacji: *Zmierzch zachodu* (*Der Untergang des Abendlandes. Umriss einer Morphologie der Weltgeschichte*, 1922), *Państwo. Problem klas społecznych, państwa i historii filozofii politycznej* (*Der Staat. Das Problem der Stände, Staat und Geschichte Philosophie der Politik*, 1924), *Człowiek i technika. Filozofia życia* (*Der Mensch und die Technik. Beitrag zu einer Philosophie des Lebens*, 1931) i in. [przypis edytorski]

<sup>34</sup> *Toynbee, Arnold Joseph* (1889–1975) – ang. historyk, autor *Studium historii* (*A Study of History*, 12 tomów, wyd. w l. 1934–1961); klasyk dwudziestowiecznej historiozofii, jeden z najważniejszych teoretyków cywilizacji; profesor historii

Mircea Eliade<sup>35</sup> (aluzyjnie), nie licząc już krajowych piór od Joachima Lelewela<sup>36</sup> aż do Pawła Jasienicy<sup>37</sup>.

Chłopiec – wuj stracony gdzieś nad Nidą – w obrazkach sprawę tę rozstrzygał; zbawiał ojczyznę na papierze, zanim ją poszedł zbawiać głową. Patriotyczne zbierał reprodukcje i do zeszytu swego wklejał w ścisłym porządku chronologii. Pstrymi farbkami kreślił mapki wzrastania i rozpadu państwa; skomplikowany system linii, kresek i kropek, barw i strzałek utrwał zmiany granic, ruchy wojsk; barwne winiety, wykrzykniki, cyfry, sztandary, emblematy, godła i herby, szable

---

międzynarodowej. [przypis edytorski]

<sup>35</sup> Eliade, Mircea (1907–1986) – rumuński historyk religii, religioznawca, indolog, filozof kultury, eseista, pisarz i dyplomata; autor m.in.: *Traktatu o historii religii* (*Traité d'histoire des religions*, 1949), *Obrazy i symbole. Szkice o symbolizmie magiczno-religijnym* (*Images et symboles. Essais sur le symbolisme magico-religieux*, 1952), *Sacrum i profanum. O istocie religijności* (*Le Sacré et le Profane*, 1956), *Inicjacja, obrzędy, stowarzyszenia tajemne. Narodziny mistyczne* (*Initiation, rites, sociétés secrètes*, 1959), *Historia wierzeń i idei religijnych* (*Histoire des croyances et des idées religieuses*, t. I–III, wyd. 1976–1983) oraz wielu publikacji na temat jogi. [przypis edytorski]

<sup>36</sup> Lelewel, Joachim (1786–1861) – historyk i polityk polski; wykładowca Akademii Wileńskiej, założyciel „Tygodnika Wileńskiego” (1815), członek Towarzystwa Królewskiego Przyjaciół Nauk w Warszawie (od 1829), zasiadał w kierowanej przez Adama Czartoryskiego Radzie Administracyjnej w powstaniu listopadowym (1830–1831), członek Rządu Narodowego Królestwa Polskiego, prezes Towarzystwa Patriotycznego, radykalnego odłamu obozu powstańczego; od 1831 r. działacz emigracyjny, numizmatyk. [przypis edytorski]

<sup>37</sup> Jasienica, Paweł; właśc. Leon Lech Beynar (1909–1970) – historyk polski, eseista, publicysta „Tygodnika Powszechnego”; autor m.in. *Myśli o dawnej Polsce* (1960) oraz cyklu esejów historycznych: *Polska Piastów* (1960), *Polska Jagiellonów* (1963), *Rzeczpospolita Obojga Narodów* (1967–1972). [przypis edytorski]

i armatnie lufy skrzyżowane nad kopczykami kul, hełmy i czaka, trupie czaszki, tworzyły szyfr – magiczny wzór, w którym chłopiec ukrył sekret wolności, trwania i potęgi. Jak wszyscy jego rówieśnicy we wszystkich krajach, wszystkich czasach niemożliwej rzeczy chciał dokonać prostym sposobem. Ojczyzna była mu Alchemią, stopionym lodem dwóch biegunów, Saharą w żyzny przemienioną ląd, *perpetuum mobile* i Atlantydą odszukaną, prawem przeciwko ciał spadaniu i lotem na Srebrny Glob – snem była jego o wszechmocy, kształtem miłości niedojrzałym.

---

Taką formą marzenia natchnął chłopca czasu duch (przenośnią mówię) czy duch narodu (wciąż przenośnia), co w przededniu wojny wielkiej, niespokojny, ofiar szukał jak głodny sęp czy orzeł, o którym babka śniła: z teatru gadał wierszem ciemnym, symbolem mętnym i patosem, i nastrój adwentowy szerzył czekania oraz gotowości do czynów jakichś, ofiar, misji...

W obrazkach mistrzów Akademii błyskał (onże duch ciągle) luną złotą nad głową barda, który straszliwą przyszłość wieszczy, wstrzymując dłonią widma jakieś, co przed nim stają, czy też widzowi broniąc właśnie patrzeć na siebie... Albo blaskiem nadziejskim bił z twarzy kaznodziei, gdy ten królowi drzemiącemu, hetmanom, posłom i biskupom rokował zgubę...

Albo w szlachcicu obłąkanym ów duch promienie swoje utkwiał – w szlachcicu, który kiedyś w progu poselskiej izby legł, koszule drąc i blizny drapiąc, aby o kwadrans odwlec ratyfikację aktu, co Polskę żywcem miał pogrzebać... A królewski błazen w czapce z dzwonkami, który w chaosie barw i faktur, w figur i detali gęstwie przeczącej prawom kompozycji, błazen myślący, co w królewskiej (i malarskiej) pompie czyta tragedii zarys pierwszy i pokoleniom przekazuje misję wesołka i Kasandry... A chłop, co czapką działo zatkał i „wiwat” woła na cześć wodza... I wódz... Sto wersji wodza: w żupanie, w zbroi i w koronie, w chłopskiej sukmanie i w czamarze, w studenckim fraczku i w surducie belfra z prowincji, w czaku z kitą – na czele wojska, w parlamencie, w klubie spiskowców, w tiumie<sup>38</sup>, w szkole, z szablą, buławą czy szpicrutą, z wierszem, co bluźni albo szydzi, albo proroctwa na wiatr rzuca – w tłumie lub sam, wobec narodu, ludu, Boga – hetman, porucznik, podchorąży, uczniak, parobek wiejski – każdy wreszcie może i musi królową śpiącą ze snu zbudzić, przywrócić córkę Demetrze<sup>39</sup>, pieśnią lub siłą wyprowadzić zbłąkaną w pieklach Eurydykę<sup>40</sup>. Każdy, więc i on, karawanów i karetek dziedzic, a także realności<sup>41</sup>, parcel

---

<sup>38</sup> *tiurma* (z ros.) – więzienie. [przypis edytorski]

<sup>39</sup> *córka Demeter* (mit. gr.) – Kora a. Persefona, córka bogini urodzaju, Demeter, podstępem poślubiona przez boga podziemi, Hadesa. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> *Eurydyka* (mit. gr.) – ukochana żona Orfeusza, wielkiego poety i śpiewaka, który po śmierci żony poszedł po nią do krainy umarłych. [przypis edytorski]

<sup>41</sup> *realność* – tu: nieruchomość; własność w postaci budynków itp. [przypis edytorski]

i walorów<sup>42</sup> Austro-Węgierskiego Banku, potomek drobnej burżuazji – klasy bez dziejów i bez jutra, klasy sieroczej, przeto smutnej.

---

<sup>42</sup> *walory* (daw.) – tu: papiery wartościowe emitowane przez banki. [przypis edytorski]



# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.